

# REPORTAŻE Z PRZESZŁOŚCI

## Ja, happening, stocznia

**EWA MILEWICZ**

♦ dziennikarka, członek KSS „KOR” i współpracownik Niezależnej Oficyny Wydawniczej, od 16 sierpnia 1980 r. uczestniczyła w strajku w Stoczni Gdańskiej – m.in. rejestrowała zakłady przystępujące do Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, publikowała w „Strajkowym Biuletynie Informacyjnym Solidarność”. W latach osiemdziesiątych współpracowała z podziemnym Regionem Mazowsze NSZZ Solidarność. Pracuje w redakcji „Gazety Wyborczej”.

Uzgodniłmy z Konradem Bielińskim, że w Gdańsku ja poprowadzę samochód<sup>1</sup>. W razie czego, gdyby milicja nas zatrzymała, on ucieknie – mnie być może puszcza. Konrad zahamował tuż przed skrzyżowaniem. No to co, przesiadamy się? Zrobiło mi się niedobrze ze strachu. Nie mogę wykonać żadnego ruchu, mogę tylko bać się. Wiedziałam, że za chwilę wjedziemy z bibułą do stoczni. Był poniedziałek 18 sierpnia 1980 r. Przypuszczaliśmy, że stocznia będzie otoczona przez milicję. Kilkaset metrów przed bramą Konrad zakomenderował:

– Zjedź w prawo, na parking, zaparkuj za budką.

Z własnej inicjatywy do budki dodałam jeszcze załom budynku. Stałam więc dobrze schowana za budką i murem. Ludzie grupkami wędrowali w kierunku stoczni, zatrzymując się na chwilę przy budce-parawanie. Kupowali gazety, które zaraz na miejscu rozkładali, potem szybko zamykali i upychali do teczek. W gazetach nic nie było. Wczoraj skończył się czwarty dzień strajku w Stoczni Gdańskiej. Nie wiedzieliśmy, czy zaczyna się piąty, czy też ludzie wrócili do pracy. Konrad oczywiście:

– Ty tu poczekaj, a ja zobaczę, co tam się dzieje.

Muszę poczekać, jestem w końcu damą i nie będę mu się narzucać. Chce sam – niech idzie. Czas płynie mi na rozmyślaniach o różnicy między damą a rewolucjonistką. Każda z tych profesji ma swoje zalety. Uwzględniam jednak interesy mojego towarzysza wycieczki i decyduję: będę do końca tej podróży damą o średnim stopniu samodzielności. Pół godziny, na które zgodnie z umową wyniósł się Konrad, mija szybko. Obserwuję manipulacje przechodniów z gazetami. Staram się odczytać z ich twarzy, czy popierają strajk, czy nie, słucham z oddali płynących głosów: „nie zginęła, póki...”. Wstać, nie wstać, myślę. Polak powinien, więc ostatnie dźwięki płynącego hymnu zastają mnie – na parkingu, za załomem, za budką, wpatrzoną w piękny zrujnowany dom, nad domem dźwigi stoczniowe, a więc zastają mnie stojącą na baczność. W tej pozycji zastaje mnie Konrad, pyta:

– Dokąd idziesz?

Boję się przyznać do moich tanich wzruszeń – tajemniczo milczę.

– Wiesz – mówi Konrad – przed bramą stoi sporo ludzi, podsłuchałem, zastanawiają się, czy wejść, czy nie.

– Kto nadawał ten hymn?

– A to już za bramą, tam też jest sporo ludzi.

Całe to zamieszanie – byliśmy przedwczoraj w Gdańsku, więc wszystko wiemy – powstało dlatego, że odwołano w sobotę strajk, była to zdrada wobec pozostałych zakładów solidaryzujących się ze stocznia. Po godzinie na skutek nacisku oburzonych ludzi zaczęto nawoływać wychodzących ze stoczni do pozostania w niej. Część jednak już wyszła. Dlatego w poniedziałek tylu ludzi przed bramą.

<sup>1</sup> Reportaż ten został opublikowany w „Biuletynie Informacyjnym” 1980, nr 6 (40). 31 VIII 2000 r. przedrukowała go z niewielkimi skrótami „Gazeta Wyborcza”. (red.)

To jednak głupio wjechać, jakiś nietaktowny wydaje się nasz pojazd za bramą stoczni – oni strajkują, a my tak nachalnie wpraszamy się z bibułą i KOR-em. Ale jesteśmy, mamy. Niechętnie podjeżdżamy pod bramę. W sztachety bramy wplecione bukiety kwiatów, pozatykano je też na górnej krawędzi, gdzieś tam wiszą święte obrazki i kolorowe zdjęcia Papieża. Pośrodku drewniany krzyż otoczony lampkami, jeszcze niezgaszonymi. Nad bramą czytam: „Stocznia Gdańska im. Lenina”. Brakuje do kompletu flagi biało-czerwonej i czerwonej, i może „Międzynarodówki” – myślę. I chłopak w waciaku zatyka biało-czerwoną (potem przybędzie jeszcze biało-niebieska, stoczniowa, i to dopiero będzie komplet). Ludzie na bramie, uprzedzeni przez Konrada, otwierają przepust. Macham im ręką, wjeżdżamy. Nigdy potem przez tę bramę nie przejeżdżałam.

Konrad wyjmuje ryzy „Robotników”, daje jeden egzemplarz robotnikowi w kufajce – i po chwili tłum, ręce wyciągnięte do góry.

– I mnie, i mnie, a może pani ma choć jeden...

Boję się tłumu. Za chwilę w pustej prawie sali obrad Komitetu Strajkowego Stoczni Gdańskiej. Kilkanaście osób siedzi przy końcu jednego ze stołów. Gdzieś dalej dwóch robotników w stoczniowych kombinezonach. Wąłta blondyneczka drobi kroczkami.

– Alinko, Alinko, miałaś sama nie chodzić po stoczni, jeszcze coś cię w łeb palnie – narzeka chłopak – „obstawa” Alinki Pieńkowskiej. – Alinko, idź wreszcie spać.

Ale, myślę, mają zamiłowanie do parady, nie było tu już mniejszej sali? Siadam obok robotników stoczniowych. A więc strajk trwa.

– W nocy z soboty na niedzielę powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z siedzibą w Stoczni Gdańskiej – powiada jeden z nich.

Po raz drugi myślę sobie: „Ale zamiłowanie do parady! Trzy dni strajkują i już jakieś międzyzakładowe komitety. Przerost organizacji”.

– A panowie ze stoczni?

Okazuje się, że rozmawiam z organizatorami czwartkowego strajku. Dwaj młodzi chłopcy z wydziałów K-3 i K-5 postanowili stanąć w obronie wyrzuconej z pracy pani Ani Walentynowicz, porwali najpierw swój wydział, potem – idąc od wydziału do wydziału – przed gmach dyrekcji pociągnęli za sobą całą stocznię. Do pani Ani dorzucili żądanie przywrócenia do pracy wyrzuconego po 1970 r. Lecha Wałęsy. W czwartek i piątek, pierwsze

dni strajku, dzieje się bardzo wiele, robotnicy wiecują, do żądań personalnych dołączają podstawowe żądania ekonomiczne, podwyżki pensji o 2 tys. złotych, dodatku drożyznianego. Wałęsa nie czeka, aż dyrektor zaprosi go do stoczni, sam wymierza sobie sprawiedliwość. Przechodzi przez płot stoczni i staje na czele strajkujących. Wydarzenia wymykają się spod kontroli moich dwóch chłopaków. Rozpędzona machina strajkowa zagarnia coraz więcej zakładów. Na twarzach moich rozmówców maluje się niedowierzenie i duma.

Otrzymuję przydział pracy. Trzeba jeszcze raz przepisać listę 20 strajkujących zakładów i uzupełnić ją nowymi, ich przedstawiciele zaglądną właśnie w rozłożone przede mną papiery. Zaczynam rejestrowanie.

– Czy panowie mają postulaty, upoważnienia? Wszystko jest, proszę, numer 21.

Trzydziesty zakład rejestruję w momencie, gdy zaczynają się obrady MKS-u. Wałęsa i dwóch ludzi, jeszcze nie na podium, za stołem prezydiatnym, lecz u szczytu jednego z czterech długich stołów przeznaczonych dla delegatów. Ja obok rejestruję zakłady. Wałęsa nagle wyrwa mi z ręki papiery i po omacku zaczyna czegoś szukać, moje protesty kwituje machnięciem ręki.

– Niech pani da spokój, tu są ważne sprawy – zaczyna wyczytywać pierwszy zakład. – Czy jest ktoś z Rafinerii? Co tam u was słychać, dobrze, dziękuję, trzymajcie się.

Kiedy rejestruję 56. zakład, Wałęsa i właśnie powołane prezydium MKS postanawiają objąć stół prezydiatny na kilkuschodkowym podwyższeniu. Nad stołem w tym momencie kolejno od lewej wiszą: flagi czerwona i biało-czerwona, orzeł na czerwonym tle, biało-niebieska – stoczniowa, w rogu dwumetrowa rzeźba Lenina. Prezydium usadowione na podwyższeniu przemawia do zebranych przez mikrofony, zebrani, kiedy chcą przemawiać, wchodzą na podium. Wiem już po co ta paradna sala.

Po południu rejestruję 156. zakład.

Ktoś wpada na pomysł, żeby opanować radiowęzeł. Cała stocznia, każdy budynek, magazyn są radiofonizowane. Wielkie głośniki stoją też na dworze i tuż koło bram. Wszystko to unieruchomił w sobotę dyrektor. Wałęsa dobiera sobie grupkę ludzi i idzie z nimi pod budynek dyrekcji. Dyrektor stanowczo odmawia. Wtedy Wałęsa do dyrektora:

– Jeżeli pan nie włączy radiowęzła, wejdziemy siłą do budynku.

Tę właśnie informację przynosi na salę Janek Narożniak. Poczułam się wreszcie w ogniu rewolucji, żadne tam negocjacje, wiecowanie, uprzejmości. Twarde ultimatum – lincz wisi w powietrzu. Był jednak Andrzej Gwiazda – Wałęsa pod jego wpływem złagodniał, złagodził ultimatum. Po chwili radiowęzeł działał.

Ciągle coś się dzieje. Na wieczór Wałęsa proponuje: przed II bramą o godz. 18.30 msza. Ze względu na powagę sytuacji ksiądz udzieli ostatnich namaszczeń. W dzienniku TV natomiast przemawiać będzie Gierek. Żyć, nie umierać – myślę. – Ostatnie namaszczenia to to, czego nigdy jeszcze nie zaznałam. Delegaci rozpraszają się to tu, to tam, większość idzie na mszę.

Początek przemówienia Gierka – na sali pusto. Wygląda na to, że szef partii będzie mówił do mnie, Konrada i dysydenckiego (zdaniem Gierka) prezydium. Nie sądzę, żeby go to satysfakcjonowało. Wałęsa zaniepokojony niesubordynacją wzywa delegatów do sali, mówi o „politycznym obowiązku” wysłuchania Gierka. Zebrani pokrzykują:

– A co on mądrego powie? Co nam za różnica, na żądania się nie zgodzi, a więc strajkować i tak będziemy, tylko sobie głowę będę bzdurami zaśmiecać, niech do partyjnych gada. Pewnie się zapyta, czy pomożemy – śmieje się ktoś obok mnie.

Słucham z rozdziawioną gębą. Wiedziałam, że ludzie wypowiadają takie zdania tylko w tzw. ścisłym gronie, na pewno nie wśród kolegów z pracy. Na sali ciągle siedziało po dwóch–trzech delegatów z zakładu i ku mojemu zdziwieniu nie bali się, że ktoś na kogoś doniesie. Powtarzam sobie: „To niesamowite” i to słowo przylepi się do mnie na następne kilka dni strajku.

Dziwi mnie, że ludzie wcale nie są ciekawi przemówienia Gierka. Dla mnie oczywiste jest, że przychyli się on do części żądań i załagodzi sytuację – on też chyba wie o 156 strajkujących zakładach. W końcu delegatom udaje się szczęśliwie połączyć mszę z Gierkiem, schodzą się na salę, słuchają przemówienia ze średnim zainteresowaniem i z kąśliwymi docinkami.

Ostatnie słowa szefa partii o spokoju, którego jeżeli zabraknie, to wszystkie inne sprawy utracą znaczenie, wywołują przed moimi oczami obraz łuf armatnich – tylko nie bardzo dostrzegam, czy to broń polska, czy jakaś inna.

Wałęsa intonuje „Jeszcze Polska...” i po raz pierwszy w czasie strajku widzę, że cała sala z rumorem wstaje,

ludzie z ogromnym przejęciem, łzami w oczach śpiewają, zagłuszając słowa spikera w telewizji.

Wałęsa o Gierku:

– Nas to nie obchodzi, my mamy swoich 21 postulatów, będziemy rozmawiać z ekipą rządową, na razie strajkujemy, czekamy, aż władza przyjdzie do nas.

Joanna Duda-Gwiazda do strajkujących:

– Przejęliśmy władzę w mieście. Musimy jutro zająć się organizacją życia.

Następnego dnia delegaci składają krótkie meldunki. W wielu zakładach dyrekcje próbowały rozpoczynać rozmowy z załogami, delegaci jednak z dumą podkreślają swoją stanowczość, odpowiadają: „Rozmawiać z wami chcieliśmy dawniej, teraz czekamy na rząd”. Wałęsa w euforii dodaje odwagi, chwali bardziej stanowczych.

Powtarzam sobie: „Jesteś w stoczni, w stoczni, to takie miejsce, gdzie budują statki, statki, jesteś w Polsce, w Polsce, to taki kraj komunistyczny, komunistyczny”.

Widowisko, które zaczyna powstawać na moich oczach, dzieje się w coraz pełniejszej sali obrad. Co dzień przybywa około stu zakładów – każdy zakład ma dwóch delegatów. Teoretycznie wprowadzie tylko jeden z delegatów siedzi na obradach, a drugi w tym czasie dodaje ducha załodze, ale w praktyce obaj są ciekawi tego, co dzieje się na sali. Co jakiś czas prezydium przypomina o konieczności utrzymania łączności delegatów z zakładami (Joanna Duda-Gwiazda: „Wasza obecność tutaj ma sens, jeżeli wasze zakłady strajkują”).

Od wtorku do MKS-u przybywają różne delegacje z wyrazami solidarności, solidaryzuje się każdy, kto chce i może. Zakłady, całe miasta (Kwidzyn), rejony (Śląsk), panie wracające z wczasów, przedszkolaki i przedszkolanki, uczniowie liceów, instytuty naukowe. Polskie Budownictwo Okrętowe, jeden ksiądz, jedna pisarka. Ponieważ każdy z solidaryzujących się musi przemówić – zajęcia mamy, jak nam się wydaje, na długie dni. Panie Ślązaczki zapowiedziano jako „kobiety o wielkim sercu, które zaraz zobaczymy”. Wywołało to niejaki ożywienie na sali: solidaryzowanie się z MKS-em było do tej pory męskim zajęciem, a tu nie dość, że panie, to jeszcze serce. Panie okazały się dwiema Ślązaczkami ze łzami w oczach, Bogiem, historią i Ojczyzną na ustach, sercem pełnym uniesień. Ten ton wyrazów solidarności utrzymuje się w większości przemówień.

Oprócz solidaryzujących się występują jeszcze potrzebujący rady. Siedząca obok mnie pani delegatka ma

zmarzwienie. W jej zakładzie przechowuje się w chłodni jeszcze z okresu przedstrajkowego kilka ton ryb. „Nieprzerobione zepsują się, a szkoda, przecież ludziska muszą coś jeść”. Delegatka zwraca się do zebranych z prośbą o radę. Przeważa opinia, że mimo strajku ryby trzeba przerobić. Nie ma jednak puszek. Zgłasza się delegat z „Błaszanki” i oferuje trochę opakowań. To jednak nie załatwia sprawy do końca. Kobiety z zakładów rybnych nie chcą podjąć produkcji bez wyraźnego polecenia MKS-u. Prezydium wystosowuje więc pismo, w którym prosi robotników, aby „kontynuowali produkcję, ale tylko do czasu, jak skończy się surowiec we własnych magazynach i tylko na rannej zmianie”. W moich zaprzyjaźnionych zakładach rybnych stosunki z dyrektorem układają się niezłe. Nie wtrąca się on do niczego, a nawet załatwia koce kobietom okupującym fabrykę.

Nie wszędzie jednak współpraca z dyrekcją układa się tak dobrze. Gromadka kobiet z RSW Prasa skarży się na dyrektora, który nie dopuszcza strajkujących do okupowania zakładu pracy. Kobiety nie mogą się tam wdrzeć, a bez okupowania nie ma strajku. Delegaci prześcigają się w radach. Wszystkich przebija Wałęsa – decyduje się na wystanie pisma do krnąbrnego dyrektora.

W mieście panuje już swego rodzaju moda na strajkowanie, ludzie zaczynają być dumni ze swej odwagi i bezkompromisowości. Wszyscy delegaci dojeżdżają na obrady do stoczni służbowymi samochodami – nyskami, fiatami, ciężarówkami – z zatkniętymi biało-czerwonymi flagami. Komunikacja miejska przeciw strajkuje. Niektórzy milicjanci, widząc ten wystrój samochodu, machają przyjaźnie, wrzucają do kabiny papierosy lub – jak zwykli przechodnie – pieniądze na MKS. Inni zatrzymują jadących, zabierają karty rejestracyjne lub tylko każą zdjąć flagę. Delegaci są oburzeni, wyraźnie chcą, żeby ich samochody można było odróżnić. Podoba im się żywiłowo manifestowane poparcie ulicy.

Cała sala obrad medytuje więc, jak oznakować samochody i co odpowiadać milicji. Są tacy, którzy radzą, żeby flagi na żądanie milicjanta zdejmować i następnie za rogiem wkładać, są inni, którzy wymalowałiby biało-czerwoną niezmywalnym lakierem, są tacy, którzy w obronie flagi poszliby na noże, są inni – i ci zwyciężają – którzy są za niedemonstrowaniem i nieprovokowaniem. Flagi powiewają przeciw nad zakładami pracy – powiadają.

Rad i propozycji w każdej dyskutowanej sprawie pada co niemiara. Zajęcia świetlicowe – tak nazywam ten wielki teatr MKS – prowadzi Wałęsa. Istotnym powodem jego ogromnego autorytetu jest, moim zdaniem, wiara – jak on to mówi – w zwycięstwo. Na sali Wałęsa jest zawsze w pogodnym nastroju, nie widać po nim strachu, paniki czy choćby śladów zdenerwowania, a przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie jest w stanie wykluczyć interwencji wojskowej. Wałęsa nic nie robi sobie z władzy, która pomimo kolejnych apelów MKS-u nie stawia się na rozmowy. Obszar jego zarządzania ciągle się rozszerza, liczba strajkujących zakładów rośnie, dla rządu jednak MKS to fatamorgana.

Wśród delegatów daje się słyszeć pytanie: „A jeżeli oni wcale nie przyjdą?”. Wałęsa – przynajmniej dla tłumu – nie ma wątpliwości. Bez przerwy powtarza: „Naszym celem są wolne, niezależne od nikogo związki zawodowe i to uzyskamy”. Pokrzykuje: „Czarowali, czarują i dalej chcą czarować. Ostrzegam władze – koniec zabawy”.

Po innych członkach prezydium widać wyraźnie zmęczenie, niepewność, zdenerwowanie. Wałęsa jest jakby pozbawiony własnych nastrojów. Jego wejściu na salę obrad coraz częściej towarzyszą okłaski i skandowanie: „Le-szek, Le-szek, Le-szek!”, coraz częściej ktoś go prosi o autograf, ktoś inny pstryka zdjęcie.

Wiara Wałęsy w pomyślny bieg wypadków wydaje mi się nadzwyczaj nieroztropna. Do miasta przybywa komisja rządowa z wicepremierem Tadeuszem Pyką. Lekceważą oni całkowicie istnienie MKS-u, próbują natomiast prowadzić separatystyczne rozmowy z delegacjami poszczególnych zakładów. Co godzinę w miejscowym radiu słyhać komunikat o przyjeździe komisji, spiker podaje adres, pod którym ona urzęduje, oraz informację: „Komisja będzie rozmawiać wyłącznie z zakładami, które odetną się od KOR-u i Ruchu Młodej Polski”. A więc oni jeszcze stawiają warunki?

Poprzedniego dnia Gierek mówił o spokoju, którego jeżeli zabraknie, wszystko inne utraci znaczenie. Dowiadujemy się to tu, to tam o lądujących samolotach nafaszerowanych wojskiem, o otoczeniu stoczni przez milicję, o nadjeżdżających od Słupska i Elbląga kawalkadach samochodów wojskowych. Ktoś słyszał o manewrach w NRD, ktoś o złowróbnym komunikacie agencji TASS.

Im bardziej wątpię w to, czy dożyję następnego tygodnia, tym bardziej zaczyna mi być z tego powodu przykro.

Trudno jest opisać, co to znaczy bać się.

Kiedy wieczorem któregoś dnia siedzimy w naszej niewielkiej dysydenckiej grupie – analizując fakty, snując prognozy, myśląc o interwencji, ale o tym nie mówiąc – wpada Zaprzyjaźniony Dziennikarz i krzyczy:

– Cały KOR ma sankcje!

Uśmiechamy się dobrotliwie jak ludzie, których nic już nie jest w stanie zaskoczyć, ale odtąd, mówiąc o najbliższej przyszłości, dodajemy słowo „jeżeli”. Jeżeli będziemy żyli, jeżeli nie będziemy w więzieniu. Znajdujemy się przecież na najbardziej narażonym na ostrzał przyczółku Rzeczypospolitej, a na nim jesteśmy zwierzyną przeznaczoną „na pierwszy ogień”. Komunikaty radiowe nie pozostawiają cienia wątpliwości.

Nasze, łagodnie mówiąc, niepokoje mają charakter całkowicie elitarny. Większości delegatów nazwy KOR i Ruch Młodej Polski nic nie mówią, plotki nie docierają do nich tak jak do nas, a mało liberalnym przemówieniem Gierka i tonem artykułów w gazetach tylko my się przejmujemy. Na sali panuje spokój, delegaci zajmują się rozmowami Pyki z delegacjami strajkujących zakładów. Teoretycznie wprawdzie fakt podjęcia pracy przez kilka przedsiębiorstw nie miałby żadnego znaczenia w chwili, gdy strajkuje ich ok. 300, ale zasada „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, starannie propagowana przez prezydium, staje się niemal kanonem moralnym.

Część ekipy, od której kilkaset zakładów ma się odciąć, pisze list do MKS-u z prośbą o pomoc w uwolnieniu naszych więzionych kolegów. Ścisłej mówiąc, piszemy trzy pisma – Konrad, Bogdan Borusewicz i ja siedzimy w trzech rogach sali i każdy tworzy swoją wersję, a w międzyczasie załatwiamy służbowe interesy. Konrad zarządza drukowanie ulotek zawiadamiających o powstaniu MKS-u, ja rejestruję nowe zakłady, rozchwytywany Bogdan gada z ludźmi.

To, co stworzyliśmy, okazuje się i tak gorsze od oświadczenia sprokowanego przez prezydium MKS-u, które pisze o „nasilającej się fałszywej i prowokacyjnej propagandzie”, o tym, że strajkujące załogi „nie rozbijają jedności narodu polskiego”. Równocześnie Wałęsa objaśnia sali, co to jest KOR, powołuje się na osobistą znajomość z członkami KOR-u, wreszcie powiada:

– Ludzie ci nami nie kierują, ale nam pomagają. Nie będziemy się od nikogo odcinać.

To wszystko nie w pełni do mnie dociera. Strzały są ciągle możliwe. Tak jak wszyscy nie mam czasu ani dość

dobrego miejsca na spanie. Którejś nocy, w momencie, gdy kładłam się spać na podłodze z głową pod stolikiem, a nogami pod fotelem, chłopcy ze służby porządkowej przynieśli skrzynkę pełną pieniędzy. Były to datki wrzucane przez ludzi gromadzących się przy III bramie, przeznaczone na potrzeby MKS-u i na pomnik zabitych w 1970 r. stoczniowców. Całą noc trwało tuż nad moją głową liczenie pieniędzy – było tam kilkaset tysięcy złotych i masa obcej waluty. Ekipa licząca pieniądze, wzbogacona w nocy przez panienkę w waciaku, nastawiła – co prawda cicho – tranzystor („witamy państwa z Katowic – zapraszamy na nasz cotygodniowy nocny program muzyczny”) i gadała. Spać się żadną miarą nie dało. Co chwila wysłuchiwałam kolejnego komunikatu o stanie konta MKS-u. Nad ranem rozległ się przeraźliwy łoskot – to wylatywały ze skrzynki pochylonej nad stolikiem kilogramy bilonu. Radio grało, panienka przekomarzała się z chłopcami i wydawała opinie o gdańskich dyskotekach, chłopcy układali bilon w długie kolumny. A ja przestałam bać się armat, bo czyż mogą wjechać czołgi w tak niepoważnej scenerii?

Ranek po domniemanej inwazji okazał się niesłychanie pogodny. Wszystkie zakłady negocjujące z Pyką posłusznie meldowały o odstąpieniu od rozmów, sala biła im głośno brawa.

Normalizacji uległy nie najlepsze stosunki między Stoczną Gdańską a Stoczną Remontową. Delegaci Stoczni Remontowej uznawali, że zostali zdradzeni przez moją stoczną, ponieważ Wałęsa egoistycznie odwołał strajk (jeszcze przed powstaniem MKS-u), zostawiając ich – strajkujących solidarnie ze Stoczną Gdańską – na lodzie. Dlatego bez specjalnych wyrzutów sumienia rozpoczęli rozłamowe rozmowy z Pyką. Była to realizacja przysłowia „Jak Kuba Bogu...”.

Jednakże za Pyki w Gdańsku panowała już moda na bycie w MKS-ie i na nieprzekupność. Zakłady prześcigały się w różnych konkurencjach: kto nie złakomi się na obietnice dyrekcji i Pyki, kto zbierze więcej pieniędzy na MKS. Trudno więc było Pyce cokolwiek osiągnąć. Do sali MKS-u poza Stoczną Remontową i Północną wrócił taki gigant jak Zarząd Portu Gdańsk. Jego delegat, młody robotnik, operator jakiegoś tam sprzętu, opowiadał mi o walkach frakcyjnych w ramach samego Komitetu Strajkowego Zarządu Portu. Walki te spowodowały, że delegat całego portu przez jakiś czas reprezentował tylko jego część – a mianowicie Port Północny. Reszta



rejonów była skłonna załatwiać swe interesy z premierzem Pyką lub kimkolwiek innym, byle nie z niepewnym politycznie MKS-em. Mój delegat wraz ze swoją ekipą spacyfikował nieprzychylną MKS-owi część Komitetu Strajkowego, rozmowy z Pyką zostały zerwane i cały Zarząd Portu Gdańskiego znalazł się znów w MKS-ie. Delegat opowiadał dzieje swoich batalii jak najciekawszy kryminał. Co pewien czas cytował np. Joyce'a, a ja słuchałam z niedowierzaniem.

Zakłady, którym Pyka lub ktoś z jego komisji proponował negocjacje „na boku”, poza MKS-em, przechwalały się, jaką odprawę dały władzy. Zakłady Mechanizacji Rolnictwa np. meldowały, że odesłały ministra rolnictwa spod bramy, mówiąc mu: „Tylko MKS będzie rozmawiał z rządem”. Zrozumiałam wtedy, że albo rząd się ukorzy i przyjdzie do stoczni, albo sprawę załatwi użycie siły.

Od razu na początku pobytu w stoczni przeżyłam chwile grozy. Otóż rozmawiałam z kilkoma znanymi mi dziennikarzami. Znajdowali się oni w grupie nieznanymi mi ludźmi. W pewnym momencie podszedł zaprzyjaźniony dżentelmen i szepnął: „Uważaj, ten w środku to Wojciechowski z Interpressu. Zaraz usuniemy go z sali”. Wzbudziło to moje ogromne zainteresowanie, agencja reprezentowana przez pana Wojciechowskiego znana mi była z różnych wypowiedzi daleko odbiegających od prawdy. Zapytałam więc:

– Przepraszam, pan z jakiej agencji?

– Z Interpressu, Wojciechowski – odpowiedział mój rozmówca.

– A ja z KOR-u, Milewicz – odezwała się i w tym momencie wyobraziłam sobie dezaprobujące miny Jacka Kuronia i Adama Michnika. Siedzę przecież w stoczni, cała prasa atakuje KOR stojący za plecami robotników, a ja, idiotka, przyznaję się akurat Wojciechowskiemu do obecności tutaj. Cóż za niepolityczne posunięcie – powiedzieliby moi koledzy. Przeraziłam się też, że prezydium może mnie usunąć ze stoczni.

– Pana agencja podała nieprawdziwe informacje w sprawie Mirka Chojeckiego.

– Tak pani sądzi?

– Ja nie sądzę, ja wiem.

– Hm.

– A co pan sądzi o obecnej sytuacji w kraju?

– Myślę, że fala strajkowa rozszerza się coraz bardziej.

Było to już ostatnie zdanie wypowiedziane na sali

obrad MKS-u przez mojego rozmówcę. Podszedł bowiem do niego robotnik w biało-czerwonej opasce. Zapytał: „Pan Wojciechowski?” i usłyszałam znane mi skądinąd: „Pan pozwoli ze mną”.

Byłam zachwycona reakcjami ludzi; tymi zauważanymi w rozmowach w „kuluarach” i tymi widocznymi na kilkusetosobowej sali obrad. Mówili: „Przecież nikomu nie chodzi o pieniądze, wiadomo, że dwóch tysięcy złotych podwyżki nie dostaniemy, nam chodzi o Polskę, przecież tak już nie da się żyć”. Zdumiewało mnie to, że nie chodzi o tzw. kiełbasę. Trochę zabawna wydawała się mieszanka patriotyzmu i religijności widoczna już w bramie wjazdowej (krzyż, Papież, flagi, to wszystko w kwiatach), ale czułam się jak widz we wspaniałym jarmarcznym teatrze.

Pewnego dnia Wałęsa otrzymał w darze od kogoś spod bramy metalową figurkę Chrystusa. Ogłoszono plebiscyt, co zrobić z darem. Sala przegłosowała, że Chrystusa trzeba przybić do krzyża i powiesić nad stołem prezydiąlnym.

A skąd wziąć krzyż? Wystarczył apel w radiowęźle i zgłosiły się dwie brygady strajkujących cieśli.

Już po zabraniu figurki do warsztatu stolarskiego za stół prezydiąlny wbiega młody człowiek, chwytając mikrofon i kilkakrotnie dramatycznie powtarza:

– Za chwilę odczytam historyczne oświadczenie. Proszę wszystkich dziennikarzy polskich i zagranicznych, z prasy, radia, fotoreporterów i filmowców, żeby zbliżyli się do stołu prezydiąlnego. Proszę wszystkich delegatów o uwagę i ciszę.

Dziennikarze naciągają, fotoreporterzy na kredyt robią zdjęcia. Krzysiek Wyszowski i Konrad zarządzają przerwę w pracy maszynistek. Na sali kompletna cisza. W tym momencie ocknął się ktoś z prezydium i pyta: „A pan kim jest?” (mikrofony na sali i w ogóle cały radiowęzeł są bez przerwy pilnowane, dopóki choć jeden mikrofon działa, prezydium nie odchodzi od stołu, wejście do radiowęzła ciągle obstawia służba porządkowa; cały teren stoczni jest radiofonizowany, również ludzie tłumnie stojący przed bramami przysłuchują się obradom – można więc sobie łatwo wyobrazić jakąś prowokację).

– Jak to, nie znacie mnie? Jestem stąd, ze Stoczni Gdańskiej, nazywam się Ireneusz Leśniak. Jestem zastępcą kierownika biura do spraw osobowych i organizacyjnych. Przecież mnie znacie.



Sala BHP w Stoczni Gdańskiej, przemawia Andrzej Gwiazda, sierpień 1980 r. Fot. Stanisław Składanowski, zbiory ECS

Do stołu zbliżają się osobnicy z biało-czerwonymi opaskami służby porządkowej Stoczni Gdańskiej, nikt jednak nie zna postaci na scenie.

Po chwili zza ludzi wyłania się pani Ania Walentynowicz, podchodzi do podwyższenia i mówi: „A to pan Leśniak, ja pana znam”. „Oczywiście, to pani Ania”, odpowiada uradowany pan Leśniak, bierze mikrofon i już bez przeszkód odczytuje 10-minutowy tekst. Czyta o tym, że jest synem ubogiego piekarza, członkiem Koła Młodych gdańskiego oddziału Związku Literatów Polskich, że wychowany był w „ideałach patriotyzmu”, zawsze służył jak najlepiej ojczyźnie, wie, co to robotniczy trud, widzi, ile niesprawiedliwości i zła dzieło się w ukochanej ojczyźnie, prosi o przebaczenie, chce przyłączyć się do strajkujących robotników, co by ich wesprzeć w walce o słuszną sprawę. Pan Leśniak nie może odczytać więcej niż jedno zdanie naraz. Przerwywają mu ogłuszające brawa sali dobrze tolerującej patos. Wydaje mi się to żenująco niesmaczne, nic z tego wszystkiego nie mogę zrozumieć, nie mogę usiedzieć na miejscu, podchodzę do dżentelmenów i dam z Ruchu Młodej Polski – oni też nic nie rozumieją. Dołącza do nas Krzysiek

i Konrad. Jedynie my, prezydium, dziennikarze, okazujemy się odporni na euforię sali i nie klaszczemy.

W ostatnich zdaniach pan Leśniak zwraca się do „ukochanego Edwarda Gierka, który jest dla nas jak papież, żeby przybył do stoczni i wszystkich uratował, bo tylko wam, Edwardzie Gierku, wierzymy, bo wy jesteście dla nas jak ojciec, tylko wy nam pomożecie”.

Leśniak kończy – na sali owacja, delegaci klaszczą z zapamiętaniem, wydając pomruk robotniczego zadowolenia.

Do mikrofonu podchodzi pani Ania. Jest to niewysoka, dość drobna pięćdziesięcioletnia kobieta, bardzo lubiana przez salę. Mówi drżącym głosem, boję się, że zaraz będzie płakać.

– Tak, znam pana Leśniaka, to on prześladował mnie przez całe lata, to on jako kierownik kadr wyrzucał mnie tyle razy z pracy, szykanował, przez niego tyle razy płakałam.

Pani Ania nie może nic więcej powiedzieć, pan Leśniak stoi na podwyższeniu, sala wrzeszczy: „Wyrzucić go, wyrzucić!”. Na podium wchodzi w eleganckim garniturze pan, przedstawia się jako Stanisław Esden-Temp-

ski, prezes Koła Młodych przy gdańskim oddziale ZLP. Przypomina, że dziś odczytał list solidarnościowy Koła Młodych, i następnie oświadcza, że Ireneusz Leśniak nie jest członkiem Koła Młodych.

Na sali histeria.

– Kłamca, kłamca, wyrzucić go, wyrzucić go natychmiast.

Zebrani wstają z miejsc, niebezpiecznie zbliżają się do stołu prezydyjnego.

Nie mogę spokojnie ustać w jednym miejscu, nagle zobaczyłam, jak groźny i bezrozumny potrafi być tłum, jak trudno jest mu przewodzić, jak łatwo manipulować. Od tego momentu przestałam to, co widzę, określać jako „niesłychane”. Wszystko stało się już „słychane”.

Mikrofon bierze Wódz.

– Natychmiast ma być spokój – krzyczy. – Rozumiem, co się stało. Widać szykuje się zmiana ekipy rządzącej. Szczury opuszczają okręt. Siadajcie i zachowajcie spokój.

Klaszczemy Wałęsę, który pewnie i spokojnie mówi do mikrofonu:

– Usuniemy pana Leśniaka ze stoczni. Nie jest on potrzebny między nami. Zabierzemy mu przepustkę, ale bardzo proszę, by nikt go nie tknął palcem. Proszę dziesięciu ludzi ze służby porządkowej Stoczni Gdańskiej, niech podejść do prezydium, wyprowadzą pana Leśniaka z sali i doprowadzą bezpiecznie aż do bramy.

Na sali ciągle trwa rozgardiasz, słyszę lekki pomruk robotniczej – tym razem – dezaprobaty. Słyszysz to również Wałęsa i zmienia decyzję: – Ja sam pójdę z panem Leśniakiem i służbą porządkową do bramy. Tylko pamiętajcie, jeżeli ktoś tknie pana Leśniaka, zrzeknę się prowadzenia strajku, a wiecie, że zawsze dotrzymuję słowa. Przepuście nas w całkowitym milczeniu. Niech to będzie największa dla niego obelga.

Orszak z Wałęsą, Leśniakiem i obstawą powoli wychodzi z sali, błyskają flesze, wszyscy wstają, jest cicho. Z osłupienia wytrąca mnie donośny głos:

– Nazywam się Andrzej Gwiazda. Nieraz żęście mnie już chyba słuchali. Bardzo was proszę, okażcie rozsądek, przepuście pana Leśniaka bezpiecznie do bramy, niech włos mu z głowy nie spadnie, zachowajcie spokój.

Andrzej kończy swój apel, mikrofon przejmuje człowiek ze służby porządkowej:

– Ja nie wiem, czy wszyscy na sali wiedzą, po co tu są. Mnie się wydaje, że nie wiedzą. Stoje tu cały czas, słucham i zastanawiam się, po co klaskaliście temu Leśniakowi.

Na sali poruszenie, ktoś krzyczy: „Bo wszyscy klaskali”, ktoś inny: „Bo zawsze się klaszcze”. Głos zabiera delegat z sali: „Jestem jednym z tych, którzy klaskali, naprawdę nie umiem tego wytłumaczyć, muszę jednak publicznie się przyznać, wstyd mi bardzo, ten Leśniak tyle krzywdy narobił pani Walentynowicz”.

Mikrofon wrywa mu Wałęsa, który właśnie odprowadził pana Leśniaka do bramy i zwycięski wraca:

– Dość mam już tej całej sprawy i tego Leśniaka, żeby nikt więcej ani słowa o nim nie powiedział!

Z pomocą Wałęsę nieoczekiwanie przychodzą cieśle wnoszący prosty, drewniany krzyż z ukrzyżowanym Chrystusem. Wszyscy zapominają o Leśniaku i zajmują się Chrystusem.

Na stole, na podestach, w puszkach blaszanych, słojach, butelkach po mleku i oranżadzie kwiaty, bukiety z wpiętymi karteczkami, których nikt nie ma już siły czytać. Pomiędzy nimi rzeźba w drewnie – prezent od nieznanego ofiarodawcy dla Wałęsy. Krzyż z Chrystusem na wniosek sali cieśle przybijają do frontowej ściany stołu prezydyjnego – za dwa dni sala zarządzi przewieszenie go nad stół prezydyjalny, pomiędzy czerwoną flagą i białego orła.

Wtedy to do stołu podejdzie niewysoki, krępy, pozbawiony szyi jegomość, weźmie mikrofon do ręki i powie:

– Jestem delegatem małego zakładu w Pruszczu Gdańskim, siedzę tu już kilka dni i czuję, że muszę się do czegoś przyznać. Nie wytrzymam tego milczenia. Czuję się jak Kmicic. Jestem członkiem partii, byłem delegatem na VII Zjazd, delegatem na II Konferencję PZPR, członkiem KW w Gdańsku.

Sala pamiętająca doświadczenie z Leśniakiem krzyczy: „Wyrzucić go, wyrzucić!”. Zakłopotany człowiek próbuje się tłumaczyć, że on może przysiąc na to, co najdroższe, sam jest człowiekiem religijnym, z żoną wziął ślub kościelny, a i dzieci ochrzcił, mimo że członek partii. Sala wrzeszczy: „Znamy takich, kto go delegował?”.

Człowiek na scenie miota się przerażony, tłum jest nieubłagany. W końcu powiada:

– Przysięgnę wam na krucyfiks, że mówię prawdę – jestem członkiem partii, ale naprawdę jestem z wami.

Krucyfiks wisi zbyt wysoko. Ktoś podsuwa krzesło, delegat wskakuje na nie, całuje figurkę. Dostaje odpuście.

Patrę na to wszystko i czuję, że w mojej głowie, tak jak i w głowach delegatów, wirują w jakimś oszalałym



tańcu krucyfiks, Polska, orzeł biały, uśmiechnięta twarz Papieża, Wałęsa, POP (Podstawowa Organizacja Partyjna PZPR), sierp i młot. Wszystko to tworzy jakąś nierozwalną całość, która tam, na sali, symbolizuje polski komunizm.

Zapowiadane przybycie premiera Jagielskiego wywołało wielkie zainteresowanie delegatów i służby porządkowej. Sala obrad i hala zostały odkurzone, pucowano każdy szczebelek foteli, na których mieli zasiąść dostojni delegaci. Zorganizowano kilkadziesiąt metrów sznurów, a to w celu powiązania szpalerów witających delegację rządową. Delegacji udało się szczęśliwie i bezpiecznie przejść do dużej sali obrad dokładnie wypełnionej; tam nastąpić miało oficjalne przywitanie. Błyskały flesze, terkotały kamery, na twarzach prezydium i członków komisji rządowej widać było napięcie. Same rozmowy odbywały się w sąsiedniej, tzw. małej sali, ale były transmitowane na teren całej stoczni. Słuchali także zgromadzeni na ulicy, przed bramą.

Premier zaczął od zadeklarowania swoich najlepszych chęci, intencji, szacunku dla strajkujących i MKS-u. Wywołało to szmer powątpiewania delegatów, szmer dosłyszany również przez premiera. Trudno było i mnie uwierzyć w owe różne „najlepsze” – w szczególności dlatego, że Jagielski zaraz po przyjeździe do Gdańska próbował przeforsować branżowe rozmowy z zakładami, z pominięciem MKS-u. Na ten haczyk w Gdańsku wtedy nic nie mogło się premierowi złapać. Tak więc jego „dobra wola” była wywołana brakiem innego wyjścia.

Początek negocjacji był usłany pytaniami premiera: „Czy mnie słychać? Czy słyszą mnie delegaci?” skierowanymi do obsługi radiowęzła. Niektórzy delegaci, aby zasygnalizować swemu premierowi, że go słyszą, w odpowiedzi klaskali. Natychmiast jednak byli uciszani przez resztę sali. Zaprzyjaźniony delegat krzyczał: „Nie klaskać, nie klaskać, on tak specjalnie pyta, żeby mu klaskać!”. Doprawdy premier nie cieszył się sympatią podejrzliwej sali.

W zasadzie rozmowy z Jagielskim przebiegały według stałego schematu.

Wolne związki zawodowe? Trzeba zreformować stare. Ruch związkowy ma tradycje i zasługi, może tu i ówdzie są niedociągnięcia, dlatego trzeba myśleć o nowej ustawie o związkach.

Wolność słowa? Jest zagwarantowana przez konstytucję. Jaką konstytucję? Oczywiście postępową i demo-

kratyczną. Poza tym we wszystkich krajach jest cenzura. Możliwe, że tu i ówdzie mamy do czynienia z niedociągnięciami – trzeba się temu przyjrzeć, ale wolność słowa jest.

Więźniowie polityczni? Pan premier nie słyszał. W Polsce nie ma. Mówił mu przed przyjazdem, prawda (ulubiony wtręt słowny obywatela premiera, czysta forma, bez treści), minister sprawiedliwości.

Bezpieczeństwo dla strajkujących i osób wspomagających strajk? Pan premier jest zdziwiony postawieniem pytania, powtarza za ulotką zrzuconą nad miastem: „...jeżeli nie naruszyli obowiązującego ustawodawstwa”. „Osoby wspomagające” (strzygę uszami z zainteresowaniem wywołanym względami całkowicie osobistymi) nie są kategorią, co do której premier chciałby się wypowiedzieć.

Podwyżka płac o 2 tys. złotych? Pan premier jest zdania, że byłoby to głęboko niesprawiedliwe. Wprawdzie obecni na sali delegaci reprezentują – jak mi się wydaje – w sposób niewątpliwy całą społeczność Wybrzeża, ale co tam – Jagielski wie lepiej – byłaby to niesprawiedliwość. Zdawało mi się, że taka ocena wypowiedziana nie tylko do stocznio-wca nieźle zarabiającego, ale i do znajomej delegatki (3 tys. zł miesięcznie, dwoje dzieci, brak mieszkania), jest po prostu nietaktowna; w końcu jednak myślę, że po premierze należy się spodziewać rozumu, a nie taktu.

Oczywiście, nie ze wszystkimi postulatami MKS-u pan premier się nie zgodził.

Zwiększyć zasób informacji o stanie gospodarki? Oczywiście, postulat głęboko słuszny.

Zwiększyć podaż mięsa, liczbę miejsc w przedszkolach, budownictwo mieszkaniowe, nakłady na służbę zdrowia – to wszystko pan premier aprobejuje – przy śmiechach sali rozumiejącej, co to znaczy wykręcić się sianem. Żądanie zwiększenia nakładów na zdrowie współrodaków jest szczególnie bliskie panu premierowi, bo: siedział w Oświęcimiu, matka jego chorowała, bo on sam też, a ostatnio miał zawał (delegat obok mruczy: „W klinice rządowej leżał, a nie w szpitalu miejskim”; delegatka obok: „Do kościoła by poszedł, księdzu się zwierzył”), kolejne enuncjacje pana premiera spotykają się ze śmiechem sali, zupełnie pozbawionej zdolności współczucia.

Mniej więcej w połowie listy żądań MKS-u prezydium przypomina sobie, że nie został spełniony wstępny

warunek rozpoczęcia rozmów postawiony przez MKS, a mianowicie przywrócenie łączności telefonicznej Trójmiasta z resztą kraju. Nagabnięty dość ostro premier co robi? Oczywiście zdumiewa się. Nic nie wie o takim warunku. Pyta, o co chodzi i dlaczego to takie ważne. Że on ma najlepszą wolę. Intencję. Chęci. Że przyjechał, że był zajęty, że może nie zauważył, że się zainteresuje, że nie jest kompetentny, a uruchomienie łączności to nie takie proste. On nie może, bo nie jest technikiem.

Prezydium nie ustępuje; Florian Wiśniewski (członek prezydium) tłumaczy, że ma dziecko na koloniach pod Warszawą i chciałby zadzwonić. Andrzej Gwiazda stwierdza, że aby łączność przywrócić, trzeba – najogólniej biorąc – włączyć wtyczkę do czegoś tam. Z opresji próbuje pana premiera wybawić Wierny Dworzanin z komisji rządowej. – Ja wytłumaczę – powiada. – Nad Warszawą przeszedł wczoraj huragan – powiada. Silny huragan. Na pięknej alei Żwirki i Wigury, prowadzącej z lotniska do miasta, powalone zostały lipy. Piękne, długowieczne lipy. Stare lipy (z zainteresowaniem czekam na cytaty z Kochanowskiego, z podziwem myślę – oni nawet huragan potrafią zaprząć w służbę matactwu, a ten sprytny huragan wie, że ma zerwać połączenia akurat z Gdańskiem, a nie np. z Rzeszowem), centrala telefoniczna na Żoliborzu została uszkodzona.

Prezydium nie okazuje zrozumienia dla rozmiaru szkód wyrządzonych przez huragan. Na sali słyszę: „Znów próbują nas wystawić do wiatru”. Śmiejemy się, delegat – o wietrze, rząd o – huraganie. Wreszcie wspólne zainteresowania. Decydujący jednak jest głos Wałęsy, który chce wysłuchać całości tego, „co pan premier ma do powiedzenia”. Wysłuchamy, ale nie będziemy rozmawiać, dopóki telefony nie zostaną włączone. Pan premier w spokoju kończy i otrzymuje ostatecznie upomnienie.

– Na telefonach nam zależy – stwierdza prezydium.

Jeszcze cała sala – „Jeszcze Polska...”. Jeszcze komunikat: jutro, w niedzielę, ksiądz odprawi mszę przed II bramą. Ja idę spać, prezydium opracowywać argumenty do następnej tury rozmów, Konrad i Mariusz Wilk przygotowywać pierwszy numer „Strajkowego Biuletynu Informacyjnego Solidarność”. Zapoczątkowało to szalę zbieractwa. Kolejne numery „Solidarność”, ukazującej się dwa razy dziennie, były dosłownie rozchwytywane. Jeżeli gdzieś na terenie stoczni dostrzegłam zbitą i wrzeszczącą tłum, wiedziałam: albo rozdają medaliki

i święte obrazki od miejscowego biskupa, albo człowiek Konrada dowiózł wózkiem akumulatorowym kolejny numer „Solidarność” ze stoczniowej drukarni.

Jagielski wyjechał do Warszawy na plenum, a do mnie zgłosiła się matka chłopca zaginionego na początku strajku. Chłopiec pracował na traserni wydziału K-3; pojechałam meleksem do odległego budynku rozpytywać o niego (po drodze mijamy robotników – ręce założone do tyłu, krok spokojny, słowa niespokojne, ważące przyszłość Polski, starannie, z namaszczeniem, inni – inaczej, rozłożeni na trawnikach, śpiący, opalający się, grający w karty przy stolikach ze skrzynek po coca-coli, stąd i zowąd okrzyk: „Ma pani trójkę »Solidarność«?”). Na pewno Jagielski nie przyjedzie z Warszawy, Ruskie wejda? Autograf Wałęsy, wystrzelają nas – to wszystko widzę, słyszę). Z chłopcem nie wiadomo co, matka płacze. Wracam na salę, słyszę, jak sala w telewizorze wstaje (to plenum KC wstaje) i: „Wyklęty powstań ludu ziemi”, moja sala nagle: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Pieśń mojej sali zagłusza tamtą, obrazu w telewizorze nie widać, bo zastoniły go ręce wyciągnięte do góry, z palcami rozstawionymi w znak V. Domyślam się tylko, że słowa „Bój to jest nasz ostatni” współgrają w jakimś momencie ze słowami „Jeszcze Polska nie zginęła”. I są dwie strony, jedna z determinacją udaje się w ostatni bój, a druga jakaś naiwna i patriotyczna... Czy Jagielski przyjedzie, czy telefony włączą. *We all live in the yellow submarine* – wyjaśnia radiowęzeł głosem Beatlesów.

Lech zaszczyca salę swoją obecnością tylko na parę minut w ciągu dnia. Resztę czasu spędza wraz z prezydium na obradach z komisją ekspertów.

Jagielski zdecydował się na włączenie telefonów. Jest to pierwszy sukces w rozmowach.

Nie nadążałam z przeżywaniem tego wszystkiego. Wiadomości, liczby, plotki, cudze zmartwienia, zajęcia świetlicowe przeplatane hymnem i zapowiedziami mszy, rozmowy z Jagielskim, cały ten teatr MKS kłębił mi się w głowie. Wałęsa co najmniej dwa razy dziennie zarządził, ku pokrzepieniu serc „i żebyśmy się tak razem poczuli”, odśpiewanie hymnu. Po kilku takich porcjach przestałam wyśpiewywać hymn, za to – zaczęłam chodzić pod II bramę, gdzie ksiądz odprawił mszę. Dziwna to była msza. Na ulicy, przed stocznia, na terenie stoczni, przed bramą ogromny tłum ludzi, pośrodku, między nimi, brama jakby opleciona kwiatami. Zza bramy wy-

stawał drewniany krzyż – zabetonowany na początku strajku – załazek przyszłego pomnika zabitych w 1970 r. stoczniovców. Po mojej stronie bramy ludzie w kufajkach, poważni, nieco już znużeni monotonią strajkowego dnia, pomiędzy nimi delegaci do MKS-u w normalnych ubraniach. Niektórzy wspinają się na wózki akumulatorowe, żeby lepiej dojrzeć księdza. W przykładowym szpitalu we wszystkich oknach pacjenci i pielęgniarki, na dachu portierni fotoreporterzy.

Puste były tylko okna i balkony w dwóch wieżowcach tuż za bramą. Nigdy, podczas całego strajku, nie widziałam tam żadnego gapia. Trochę mnie to denerwowało. Ich mieszkania znajdowały się w – jakby tu powiedzieć – miejscu strategicznie istotnym; miałam uczucie, że jeżeli opuścili dom, to nie bez przyczyny.

Po mszy Ruch Młodej Polski odmawiał różaniec. Modlił się za więźniów politycznych, KOR, ROPCiO, za więzionych na 48 godzin, za władzę („żeby wykazała rozsądek”), za drukarzy niezależnych. Stopień szczególności tych modlitw był tak duży, że wyczekiwałam, czy pomodlą się też za korbkę od powielacza, który wprawdzie zabrała policja, ale korbka by się przydała do czegoś innego. Wszystkie te modły kończyło odśpiewanie „Boże coś Polskę”. Śpiewałam wraz ze wszystkimi „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie” i ta prośba do Pana Boga wydawała mi się w tym miejscu na ziemi stosowniejsza niż zarozumiała: „póki my żyjemy...”.

Po mszy często wypuszczałam się na objazd stoczni. Pewnego dnia, stojąc na moście pontonowym, właśnie zaczynałam się zagapiać, gdy zobaczyłam tuż obok wyłaniającego się z pejzażu dżentelmena. Dżentelmen ten był obdarzony twarzą wrażliwego inteligenta, topiącego tę wrażliwość w co najmniej jednej półlitrowce dziennie. (Oczywiście w czasie strajku – ani kropli). Im bardziej zbliżał się do mnie, tym bardziej utwierdzałam się w swoim pierwszym wrażeniu. Stał. Ponieważ nic nie mówił, zajęłam się zagapieniem. Gapiłam się w zasadzie w wodę, ale mogę powiedzieć, co bym widziała, gdybym się w wodę nie gapiła. A więc widziałabym masę chaotycznie po stoczni rozrzuconych budynków, budynekczków, budek, olbrzymie, chyba dwudziestopiętrowe dźwigi KONE (na szczycie jednego biało-czerwona flaga), statek ro-ro z dalekim napisem „Rio de Janeiro” i nazwą „Autoestrada”, obluźowane deski mostu.

Tego wszystkiego jednak nie widziałam, gapiłam się w wodę. Mój sąsiad na moście zaczął od słów: „Jak pani

myśli, strajk chyba niedługo się skończy?”. Następnie opowiedział mi o wybuchu – w końcu maja – na statku wykańczanym w Stoczni Północnej. Zginęli wtedy jego koledzy, a on sam cudem nie został poraniony. Opowiadał o akcji ratunkowej i o tym, co komu rozerwało. Widać było, że musi to opowiedzieć.

– Gdyby nie strajk, nie można by było żyć. Jak długo można, tak jak osioł do pracy, z pracy, dać tak sobą popychać, czytać te gazety, żyć jak nędzarz, bez przyszłości. Trzeba mieć przecież szacunek dla siebie samego, czy pani rozumie? – zapytał.

Po chwili oboje zagapiliśmy się w wodę, ja przy okazji przerabiałam w myślach temat „Strajk a godność człowieka”.

W piątek wieczorem przyjeżdża dama z Warszawy. Przywozi list od Gajki [Kuroniowej]. Sankcje prokuratorskie ma cały tzw. młody KOR i liczni współpracownicy. Gajka pisze bardzo dramatycznie. Ma żal do MKS-u, bo milczy, do mnie, bo nic nie robię. Idę więc z jej listem i wykazem osób siedzących szukać miejscowych dostojników. Mam uczucie odwracania biegu historii. Proszę Zenka Kwokę, delegata z WPK, sekretarza Wałęsy, żeby załatwił mi trzyminutową audiencję. Zenek uśmiecha się, salutuje: – Masz to załatwione.

Lech jak zwykle otoczony prasą, interesantami, wielbicielami: „90 proc. zwycięstwa – powiada. – A mówiłem, żebyście mieli do mnie zaufanie”. Stały repertuar. Jestem piekielnie zmęczona optymizmem. Marzy mi się jakiś zdrowy pesymista, ale nie histeryk. A tu albo entuzjazm Wałęsy, albo czarnowidztwo intelektualistów z Warszawy. Stają nieopodal, pod ścianą. Zenek z dobrotnym uśmiechem wyciąga swego podopiecznego z łap entuzjastów. Wałęsa podchodzi do mnie, nadstawia jeden policzek do pocałowania (myślę sobie: Jacek siedzi w więzieniu), potem drugi (myślę sobie: Janek siedzi w więzieniu).

– A nie mówiłem – zaczyna.

– Mówił pan. Ale ja mam inną sprawę. Cały KOR siedzi w więzieniu, od wczoraj mają sankcje. Tylko wy możecie coś zrobić.

– Załatwione – Wałęsa nie ma żadnych wątpliwości. – Postawimy to jutro Jagielskiemu jako warunek rozmów.

Słyszę, co mówi, ale nie bardzo wierzę. Zaczynam więc szukać Wytypowanego Eksperta i Andrzeja Gwiadzy. Naprzód Ekspert.

- Przyniosłam panu list, jaki do mnie napisała Grażyna Kuroniowa, oraz listę zatrzymanych członków i współpracowników KOR-u. Część ma już sankcje, część na pewno lada dzień dostanie.

- I czego pani oczekuje?

- Proszę pana, tylko MKS może załatwić ich zwolnienie.

- My mamy tylko głos doradczy. Ale uważam, że to nie jest właściwe posunięcie. Jeżeli MKS wygra, zdaje sobie pani zapewne sprawę, że KOR wyjdzie na wolność. Jeżeli przegra – przegramy my wszyscy. A poruszanie tej sprawy może tylko zaszkodzić. Zresztą naprawdę jestem przekonany, że lada dzień wszyscy wyjdą.

- Zgadza się z panem najzupełniej. Chyba wyjdą. Ale na razie siedzą i ja nie mam pewności, czy wyjdą. A przecież dopóki siedzą, jest to również niebezpieczne dla prezydium MKS-u, w końcu w oczach władzy to też dysydenci.

- Czy pani nie zastanawia się nad tym wszystkim? Dlaczego dla pani to takie jednoznaczne?

- Nie, nie zastanawiam się wcale. Rozstrzygnęłam takie kwestie sama dla siebie już dawno. Jeżeli człowiek siedzi w więzieniu, to trzeba wykorzystać dla jego uwolnienia wszystkie środki, jakie można wymyślić, a nie szukać politycznych powodów do nicnierobienia.

- To pani zdanie, ale dlaczego chce pani manipulować innymi?

- Manipulować? Przecież ja z panem rozmawiam.

- Mogę pani obiecać, że w przerwie obrad szepnę parę słów członkom komisji rządowej. Czy panią to zadowala?

- Nie. Proszę pana, czy pan nie widzi, że mamy do czynienia z gangsterami? Tylko postawione im ultimatum może spowodować zwolnienie KOR-u. W końcu mieści się to w postulatach MKS-u. Są to ewidentni więźniowie polityczni.

- Dla pani wszystko jest takie proste. Tu są rokowania i trzeba mieć wyczucie polityczne. W „Solidarności” ukazał się taki felietonik o rozmowach z Jagielskim. Przez takie głupstwa i brak rozsądku rozmowy o mało co nie zostały zerwane.

- To ja napisałam ten felietonik.

- Och, bardzo panią przepraszam za ten zwrot. Ale to bardzo niedobre.

- Przecież była tam tylko prawda. Nie widzę powodu, żeby ją ukrywać.

Ekspert uśmiecha się kwaśno i wzdycha.

- No cóż, nie będę panu zabierać czasu, chciałabym jeszcze porozmawiać z Andrzejem Gwiazdą, dać mu listę zatrzymanych.

Przed drzwiami spotkałam Konrada.

- Co ci się stało?

- Nic takiego. Boję się.

Na korytarzu natykam się na Andrzeja Gwiazdę. Andrzej mówi – jasne, musimy ich wyjąć. Andrzej, jesteś wspaniały, z tobą można się dogadać. Podbiega drugi ekspert.

- Ewa, Ewa, tylko się nie denerwuj, powiedz mi, jak można się skontaktować z Heleną [Łuczywo].

- Nie wiem, ona dopiero co wyjechała.

- Tak, widzisz, ona by umiała jakoś rozsądnie podejść do sprawy KOR-u.

Wybucham śmiechem. Mój Ekspert zdążył już się poskarżyć. Ale świetnie, coś się będzie działo.

Spotykam jeszcze Bogdana Lisa, Heńkę Krzywonos, wszystkim nadaję ten sam tekst o sankcjach KOR-u. Jeszcze Alinka i drugi Bogdan, Borusewicz – w zasadzie moja rola skończona.

Zaczynam się zastanawiać nad moją rozmową z Ekspertem. Oczywiście, uznał mnie za rozhisteryzowaną rewolucjonistkę – bez wyczucia taktyki politycznej. Trochę mi przykro, bo najbardziej na świecie nie lubię być traktowana jako rewolucjonistka.

Wałęsa dotrzymał słowa. Wchodzi na salę – przodem biegną fotoreporterzy, dziennikarze z mikrofonami, sala wstaje i skanduje imię Wodza, który uśmiechnięty, zwycięski, pokrzykujący „To się musi udać!”, macha bukiem mieczyków.

- Ostatnio do więzienia wsadzili wielu ludzi, ci ludzie nam pomagali – powiada – teraz my musimy im pomóc. Czy stawiamy ich zwolnienie jako warunek zakończenia strajku?

Głosowanie. Wszyscy jednomyślnie za ultimatum. Niespodziewanie po dziesięciu minutach Wałęsa z inną nieco intonacją głosu:

- Mamy problem więźniów politycznych. Możemy albo postawić jako warunek zakończenia strajku ich wypuszczenie, albo wrócić do pracy, przecież jesteśmy silni i zawsze możemy znów strajkować, gdyby ich nie wypuścili, co więc robimy? Głosujemy, kto za powrotem do pracy i ewentualnym nowym strajkiem?



Wszyscy jednomyślnie są za powrotem do pracy. Niczym się już nie dziwię.

O interwencji prawie nie myślę. Za to inny znajomy ekspert przerażony – katastrofa jest jego zdaniem tuż-tuż. Rosjanie wejdą, bo to zagraża systemowi. Argumentuje całkiem logicznie; uznaję więc, że jest to choroba stoczniowa, każdy początkujący przybysz z Warszawy musi przez nią przejść. Pokazuje mi stosowne akapity w gazetach. „Trybuna Ludu” prowadzi ostrą nagonkę na siły antysocjalistyczne, Adam Michnik i Jacek Kuron znów „pieką swoją pieczeń”, w gazetach stylistyka marcowa. W telewizji Ryszard Wojna o rozbiorach – tym wszystkim przejmuję się Ekspert, ja – niewiele.

Wiem już, że na nasze losy ma wpływ to, co tu się dzieje, a nie to, co piszą w gazetach.

Wiadomo, że w niedzielę skończy się strajk. Sprawa KOR-u ciągle niejasna. Boję się wyjścia ze stoczni, boję się życia bez tych wszystkich huśtawek ostatnich dni. Mogą nas zatrzymać, może się okazać, że KOR-u nie puszczą i będzie z tego gigantyczny proces o „pieczeń”.

Ciągle nie wiadomo, czy MKS zdobędzie się na postawienie kwestii zwolnienia opozycji ultymatywnie. Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że jakoś zostanie ona zasygnalizowana. Nie bardzo się mogę skupić na notowaniu, słucham.

Bogdan Lis odczytuje ustalenia wąskich składów komisji MKS-u i rządowej. Kiedy dochodzi do ostatniej części czwartego punktu żądań, a więc zniesienia represji za przekonania, my – jak by tu powiedzieć – osoby szczególnie zainteresowane – zamieramy. Na sali natomiast – widać nierepresjonowanej za przekonania – lekki szmer. Bogdan mówi: – To my chcemy zwolnienia więźniów politycznych wymienionych w punkcie czwartym oraz osób wymienionych w aneksie.

Jagielski: – Zgoda, parafujemy.

Na szyję rzuca mi się Jurek Wocial:

– To niewiarygodne, wypuszczą, wypuszczą ich wszystkich.

W prawą łopatkę wali mnie Krzysiek Wyszowski:

– Ty głupi Korku – powiada – ty historyczko, to już są na wolności.

Pytam się ich obu, czy są pewni, czy rzeczywiście wynika to z rozmowy Lisa z Jagielskim. – Oczywiście, idiotko – powiadają moi dwaj rozmówcy. – Czy ty już najprostszych słów nie rozumiesz?

Prawdę mówiąc, władzę obdarzam umiarkowanym zaufaniem, dlatego podejrzewam podstęp ze strony Wysokiej Umawiającej się Strony. Bogdan Lis też jakby nie dowierza i przed złożeniem swojego podpisu pyta:

– Pan premier rozumie, że nam chodzi również o osoby umieszczone w aneksie.

– W jakim aneksie? – pyta roztargniony premier. – Ja o niczym nie wiem.

Oddycham z ulgą. Premier mnie nie zawiódł, dzięki niemu nie wyszłam na idiotkę. W tekście przygotowanym do parafowania nie wymienia się zatrzymanych opozycjonistów; ich nazwiska umieszczone są wyłącznie w aneksie. Gdyby Bogdan się nie zorientował, doszłoby do podpisania dokumentu niedającego teoretycznie żadnych szans uwolnienia uwięzionej ekipie.

– Przecież wręczyliśmy panu premierowi wczoraj listę osób zatrzymanych – odpowiada spokojnie Bogdan.

– Mnie? Wczoraj? Ach, prawda, lista ta została przekazana prokuratorowi generalnemu, który się do niej ustosunkuje w późniejszym terminie – przypomina sobie premier.

– Nam jednak bardzo zależy na uwolnieniu tych osób – Bogdan jest twardy jak stal.

– Wy się ode mnie domagacie, żeby działał prawo-rządnie. I ja przestrzegam prawa. Mogę się zobowiązać, że poruszę tę sprawę w rozmowie z prokuratorem.

Wałęsa: – Przecież mamy zagwarantowane prawo do strajku, jeżeli ich władza nie zwolni – to będziemy strajkować. Choćby od poniedziałku.

Reszta prezydium jest jakby mniej rewolucyjna. Andrzej Gwiazda i Alinka Pieńkowska mówią otwarcie panu premierowi, że sankcje mają m.in. członkowie i współpracownicy KOR-u, że KOR pomagał robotnikom w 1976 r. i strajkującym zależy na wolności tych osób.

Wałęsa ciągle powtarza argument o możliwości ponownego strajku. Jego głos jest decydujący – i właśnie z takim „uzupełnieniem” obie strony parafują ten punkt żądań.

Dopiero w przerwie przed podpisaniem dokumentów końcowych do Jagielskiego, popijającego kawę w budynku dyrekcji stoczni, uda się delegacja prezydium żądająca uwolnienia KOR-u, Wałęsa jeszcze nie ogłosił publicznie zakończenia strajku, a więc Jagielski ustępuje.

Zmagania prezydium z Jagielskim o uwolnienie osób z sankcjami pochłonęły mnie tak dalece, że niewiele zauważałam.

Nie bardzo wierzę, że to już koniec. Konrad ze stołem trzynastego numeru „Solidarności” mówi:

– I tak pójdziemy siedzieć.

Nie zdążyłam mu odpowiedzieć, bo on już obok stołu prezydiального podaje Wałęsie plik „Solidarności”. Siedzący za stołem wyciągają ręce, Jagielski odchyła się do tyłu, żeby też dostać jeden egzemplarz. Fotoreporterzy, kamery.

Żegnam się z zaprzyjaźnionymi delegatami, ostatnia wspólna herbata, wymiana adresów.

– No to co, Ewa, zwyciężyliśmy.

Nic nie odpowiadam. Omawiamy z Konradem taktykę na wypadek, gdyby nas milicja za bramą zatrzymała.

Jeszcze szef zaopatrzenia daje nam na drogę dwie kostki masła i pół kilo sera.

Nie wiem, co będzie po stoczni. Zrezygnowałam z posadki w Warszawie po to, żeby tu zostać. Czuję, że muszę to wszystko opisać, jest tego jednak jakby za dużo, jest to zbyt niejednoznaczne; i nie można się nie zachwycać, i nie można się tylko zachwycać. Nie wiem, czy będę umiała to wszystko opisać, ale chociaż opowiem, od razu po przyjeździe zadzwonię do Janka Walca – myślę sobie. Konrad udziela ostatnich instrukcji w sprawie obsługi powielacza. Dostajemy glejty bezpieczeństwa z napisem „osoby wspomagające strajk”. Wyjeżdżamy, nie wiem dokąd.

Warszawa, 2–19 września 1980 r.



Bogdan Borusewicz w sali BHP w Stoczni Gdańskiej, sierpień 1980 r. Fot. Józef Borusewicz, zbiory ECS